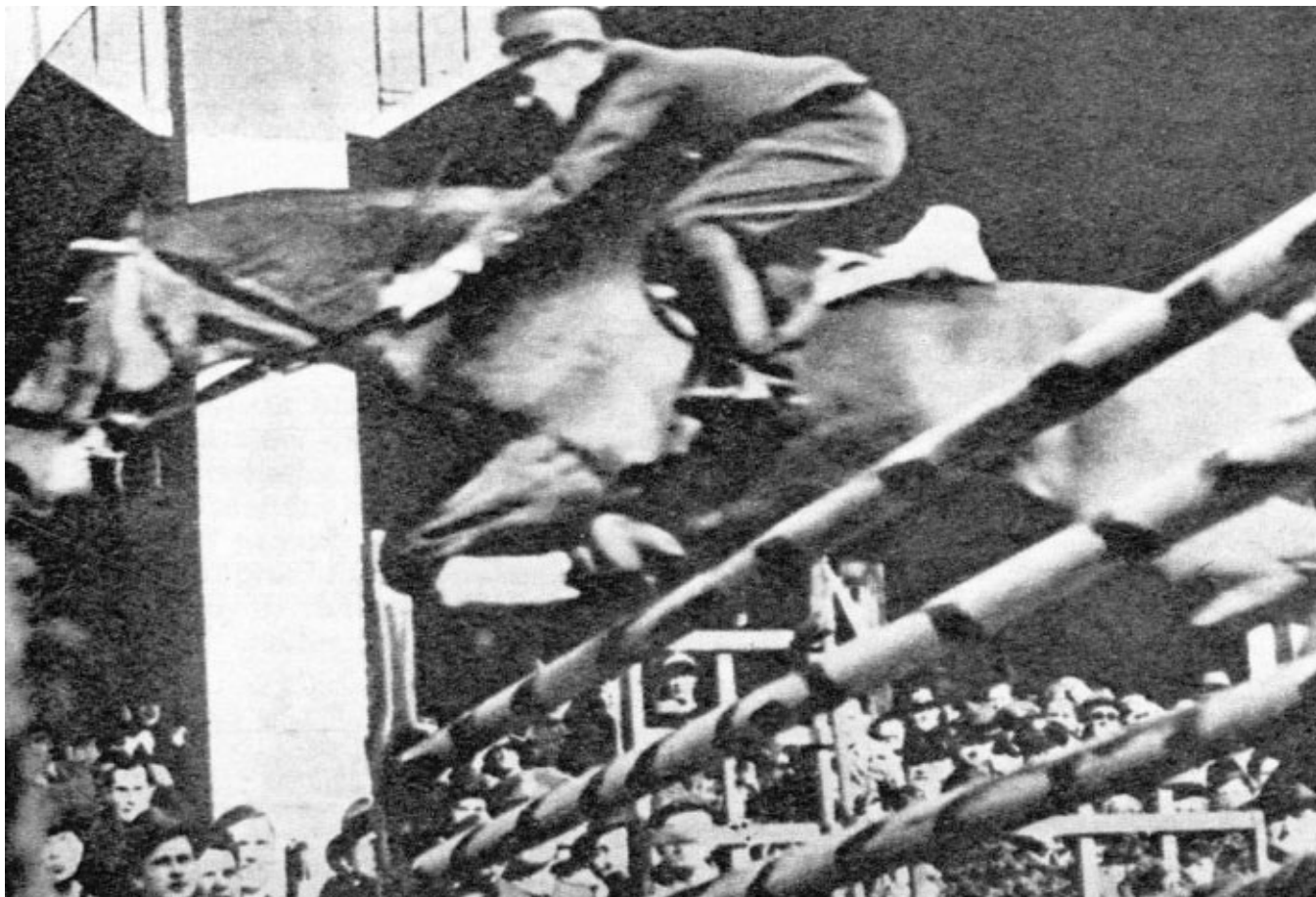


Ułańska fantazja

Maciej Biega



Rotmistrz Janusz Komorowski i jego nieodłączny towarzysz z parcoursów — Zbieg II.

Ich drogi rozeszły się w ostatnich dniach sierpnia 1959 r. Mobilizacja przerwała w sposób bezwzględny zajęcia stałej grupy sportu konnego w Grudziądzu.

Rotmistrz Janusz Komorowski powrócił do Augustowa, do I Pułku Ułanów Krechowickich. Wyruszył naprzeciw nawałnicy, którą miał spotkać na jednej z najbardziej wysuniętych rubieży Rzeczypospolitej. Dla żołnierza kończyły się lata sportu, kolorowych konkursów, podczas których na torach całej Europy bronił honoru polskiej konnicy i sławy swojego pułku. Nadchodził czas obywatelskiej powinności.

Zbiega II, towarzysza zwycięstw, próbowano ratować. Deresz opuścił Grudziądz w tabunie wyborowych koni sportowych. Poprzez zatłoczone trakty, przepełnione uciekinierami, wiódł szlak na południe.

Kiedy zaczyna szaleć pożoga, ludzie chcą chronić to, co mają najcenniejszego. Zbieg II i kilkanaście koni wędrujących z dala od bitewnych pól posiadało wartość trudną do określenia. Dzięki nim spodziewano się odrodzenia sławy polskich jeźdźców. Kiedy w 1933- roku Janusz Komorowski, wychowanek Szkoły Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu, potem instruktor w szkole jazdy, otrzymał nominację do grupy olimpijskiej — wyczyny Rómmla, Królikiewicza i ich kolegów były właściwie sportową legendą. W reportażach z zawodów hippicznych wyrażono nadzieję, że niebawem pojawi się typ polskiego konia „odznaczającego się suchością, twardością, szlachetnością, ruchliwością i nerwem”. A więc wszystkimi zaletami jakie powinny cechować rumaka doskonałego. Takiego, na którym można wygrać olimpiady.

Nie zdobył Zbieg II laurów na miarę Jaśka czy Picadora. Nie był koniem, o jakim przez lata opowiada się legendy. Po swoich rodzicach — amerykańskiej Kłusaczce i ogierze półkrwi odziedziczył wzrost potężny i charakter rzetelnego pracownika, traktującego poważnie swe obowiązki. Nie miał manier wielkiej gwiazdy, ale i nie zabiegał o ludzką przyjaźń. W swoim boksie gościł najchętniej innego czworonoga — małego psa Szlemika, z którym łączyło go wspólne zamięrowanie do porannych harców poprzez lasy i pola. Jeździec, z którym współpracował uczciwie na zawodach, w sprawach pozasłużbowych niewiele się liczył. Nawet jeśli przynosił łakocie, mógł liczyć najwyżej na wyrozumiałą tolerancję.

Wspólny szlak sportowy Janusz Komorowski i jego Zbieg II rozpoczęli po berlińskiej olimpiadzie. Na Igrzyskach żaden z nich nie odniósł sukcesów.

W dniu ostatnim, kiedy rozgrywano Puchar Narodów, Zbieg był „nerwowym i kapryśnym”. Jadący na nim rotmistrz Sokołowski nie mógł sobie dać rady. Konkursu nie ukończyli. Nieszczęsne konisko zostało szkaradnie opisane na łamach „Raz, Dwa, Trzy”. Zarzucono Zbiegowi, że „okazał się absolutnie nieodpowiedni do takiej próby”.

Janusz Komorowski na Dunkanie właściwie przez cały czas bronił się przed „wytrąbieniem”. Przedstawiono to później tak: „Polak obalił czwartą przeszkodę, wybił cegłą w murze, na jedenastej koń odmówił posłuszeństwa, na wirażu obalił żółty płot. Pociągnęło to za sobą stratę olbrzymiej ilości punktów. Dalej punktowali na dwóch rowach z wodą oddzielonych wysokim płotem. Razem 47 punktów i słaby czas 168 sekund”.

W polskiej ekipie jedynie Komorowski i Duncan dotarli do mety. Oznaczało to zajęcie dopiero 39 miejsca. Dziwił się reporter zdenerwowaniu wszystkich polskich jeźdźców i ich koni.

Przeszkody na olimpijskim konkursie ustawiono chytrze jakby uwzględniając życzenia niemieckich jeźdźców. Im też przypadły złote medale. Ale nie tylko to było ważne. Berlińskie fanfary, buńczuczność gigantyczna gala, nieludzka pycha, którą spotykało się na każdym kroku. Znak swastyki przesłaniał symbol sportowych igrzysk. Więc czy było kwestią przypadku, że jak to donoszą stare kroniki — nastrój dziwny udzielił się koniom i ludziom i byli podczas tej olimpijskiej próby inni niż normalnie, speszzeni.

Ale jedna porażka nie decydowała o wszystkim. Była fantazja wśród ułańskiej braci.

Kilka miesięcy później, u schyłku zimy 1938 przyszedł dzień rewanżu dla polskiego oficera. I dla Zbiega II. Konkurs hippiczny w berlińskiej hali zgromadził najlepszych jeźdźców Europy. Nie zapominajmy — stawką walki były nie tylko puchary i oklaski. Chodziło przede wszystkim o prestiż armii. O zwycięstwa rywalizowali wyłącznie jeźdźcy w mundurach.

Droga do hali prowadziła przez centralne ulice Berlina. Między szpalerami umundurowanych. Dwa, a nawet trzy szeregi strażników. Ten trzeci odwrócony plecami do ulicy. Kordon specjalnego bezpieczeństwa Od frontu podniesione w górę ręce. W tle SA-mani wpatrzeni czujnie w ludzi na ulicach, bowiem tą samą trasą co konni przejeżdżać mieli także na zawody prominencji III Rzeszy, w ich obecności jeźdźcy w mundurach Wehrmachtu mieli rozgromić rywali.

Ucichła nagle hala, kiedy Zbieg II bezbłędnie przelatował nad przeszkodami. Polski rotmistrz jechał szybko, jechał po zwycięstwo. Oczy wszystkich zwróciły się ku tablicy świetlnej. Jedna piąta sekundy. Tę przewagę zaliczono na korzyść Niemca. A więc drugie miejsce. Ale i tak rotmistrz Komorowski był jedynym cudzoziemcem, który w tym konkursie zajął czołową lokatę.

Dzielny Zbieg nie zawiódł także w momencie, w którym przyszło do próby jeszcze ważniejszej. Na przełomie maja i czerwca, w miejscu gdzie dzisiaj mamusie przyprowadzają na spacer swoje pociechy, w latach międzywojennych rozgrywano najważniejsze zawody hippiczne w Polsce. Tor w Łazienkach,

najpiękniejszych przecież późną wiosną, malownicze drewniane trybuny, rewia mody na tych trybunach, taka była sceneria konkursów, które oglądała cała elegancka Warszawa. Orkiestra szwoleżerów na siwych rumakach swym występem rozpoczynała spektakl. A finałem, po paru dniach, była rozgrywka o Puchar Narodów.

W 1938 roku stawka konkurentów była .wyjątkowo silna. Niemcy przywieźli swoje najlepsze konie ze złotą medalistką słynną Torą. Właściwie spośród europejskich asów brakowało jedynie Włochów. I właśnie wtedy po raz drugi w historii łązienkowskich zawodów, polscy jeźdźcy zdobyli wymarzony Puchar Narodów. Zwycięstwo przypieczętował Pohorecki na Abdelkrimie, ale właśnie Zbieg pod Komorowskim należał do najlepszych koni zespołu. Tylko dwa strącenia podczas dwóch przejazdów. Sukces był tym większy, że podczas wcześniejszych konkursów przerażona publiczność oglądała ich upadek. Koń uderzył chrapami o murawę, bano się o jego zdrowie, właściwie wszyscy pogodzili się ze smutną wieścią o wycofaniu Zbiega z Pucharu Narodów Jeszcze raz pokazał, jak dzielnym i ofiarnym jest zwierzęciem.

Triumf fetowano radośnie i hucznie. Zaproszono jeźdźców do łoży honorowej na lampkę wina, a złośliwa anegdota mówi, że w końcu dla spełnienia toastu użyto... Pucharu. Kto to sprawdzi po latach. Janusz Komorowski może z wrodzonej skromności nie komentuje tego wydarzenia. Przyznaje jedynie, że na ogół przegrywał szpetnie tego typu rywalizacje. Tak było choćby na konkursie przyspieszonego picia szampana jaki urządzono tego samego roku, w Nicei, w kawiarni „Pod Papugą” na zakończenie wielkich zawodów. O wiele lepiej czuł się na parcourse. Zresztą w teje Nicei po dramatycznej dogrywce zdobył na Zbiegu Puchar księżnej d’Aosta, wyprzedzając irlandzkiego oficera, którego wyborny Limerick Lace był od Zbiega szybszy, ale mniej precyzyjny w przechodzeniu przeszkód.

Coraz lepiej rozumiał Zbieg życzenia swojego pana. Rok 1958 przyniósł im szczególnie wiele sukcesów.

Byli znani na wszystkich liczących się na kontynencie torach. Dla jeźdźca reżim szkoły grudziądzkiej, gdzie codzienne jazdy na czterech koniach przeplatano wszechstronnymi ćwiczeniami fizycznymi, przynosił stałe doskonalenie sportowych umiejętności. Nic z tego czym powinien zajmować się prawdziwy kawalerzysta nie było pominięte. Komorowski był dwukrotnym wicemistrzem Polski WKKW, trzykrotnym w ujeżdżaniu, odnosił brawurowe zwycięstwa w wyścigach skiringowych, startował w gonitwach z przeszkodami, które wśród jeźdźców mają opinię szczególnie niebezpiecznych. Ale najważniejsze byty konkursy skoków. W tej konkurencji liczył na olimpijski sukces. W 1940 roku Zbieg miał mieć dwanaście lat. Wymarzony wiek dla sportowego wierzchowca, kiedy już liczą się zdobyte doświadczenia, a siły fizyczne jeszcze są nie nadszarpnięte.

W prasie sportowej 1939 roku można znaleźć rozważania na temat wyboru najlepszej drogi do dalekiego Tokio. Obawiano się, że podróż statkiem przez skwarne Morze Czerwone może odebrać olimpijczykom kondycję zdobytą podczas treningu. Ale w 1939 na zawody w Łazienkach Niemcy już nie przyjechali. W czerwcu nie było miejsca na grę pozorów i dyplomację. Talenty pięknych rumaków, ich skoki i elegancja, przestają być ważne...

...Rotmistrz Janusz Komorowski, jako adiutant dowódcy pułku, wsiada na siwą klacz, która nieś go będzie na swym grzbiecie w pierwszych dniach odwrotu. Bowiem dla Suwalskiej Brygady Kawalerii czas orężnego starcia jest historią nocnych marszów, poprzez lasy, bezdroża, z przypadaniem po wsiach, kiedy nastaje dzień.

Nie jest to cofanie bezładne. Idą w szyku, rozprasza ich czasami niespodziewany atak wroga. Ale przedziwna jest zwartość tej konnej armii. Po dniach nieuchronnych wydawałoby się porażek odnajdują się grupy jeźdźców jakby’ wiedzione tajemniczym instynktem, łączą się i znowu zaskakują, szarpią wroga. Tylko w pułkowych kronikach rośnie lista nazwisk poległych. Konie dają szansę szybkiego manewru. Kiedy zaś przychodzi do starć, ułani schodzą z siodeł, okopują się, rażą czołgi niemieckie

z broni przeciwpancernej.

Była to wojna bezradności. We wspomnieniach Janusza Komorowskiego zachował się epizod, kiedy musiał kryć się rozpaczliwie za stertą zboża, krążył wokół tej sterty i starał się znaleźć osłonę przed ciągle ponawianymi atakami niemieckiego myśliwca. Nieszczęsna siwa klacz, jakże reprezentacyjna na defiladzie, zdawała się przyciągać oczy lotnika, piekielnie widoczna na tle szarego ścierniska. Jej szybkość uratowała w końcu oficera. Zdołali dopaść do zbawczej gęstwiny leśnej.

13 września wśród bagien nad rzeczką Mień przez kilka godzin rotmistrz Komorowski z grupą kilkudziesięciu żołnierzy broni przejścia przez szosę i drewnianego, walącego się mostku. To jest jedyna droga odwrotu brygady. Obrońcy mają do dyspozycji jedno działko. Rozbite wozy pancerne przeciwnika świadczą o skuteczności walki. Wytrwali do końca. Brygada została uratowana. W dwadzieścia osiem lat później za ten czyn Janusz Komorowski otrzymał Krzyż Virtuti Militari.

Szlak bojowy rotmistrza rozpoczęty w Augustowie skończył się na Podlasiu, u boku generała, który walczył najdłużej. 5 października kleebercyzy złożyli broń, do której brakowało już amunicji...



Komorowski, Rylke, Pohorecki i Skulicz w dniu wielkiego zwycięstwa. Polacy wygrali Puchar Narodów na zawodach w Warszawie w 1938 r. Pokonali Niemców, którzy byli mistrzami olimpijskimi.

... Zbieg II. któremu chciano zaoszczędzić wojennych trudów, nie znalazł bezpiecznego schronienia. W pierwszych dniach września na trasie rajdu hitlerowskich czołgów znalazły się zabudowania, w których zatrzymano zwierzęta na popas. Nie udało się wyprowadzić koni spod ogarniętego pożarem dachu...

Droga rotmistrza Komorowskiego wiodła z Podlasia do Bawarii, za bramy obozu jenieckiego w Murnau. Pięć i pół roku niewoli. Wreszcie powrót do pokojowych zajęć. Przed londyńską olimpiadą Janusz Komorowski przygotowuje angielskie konie dla pięcioboistów z całego świata. Ma znakomitą opinię. Więc z usług doskonałego fachowca postanawiają skorzystać jeźdźcy argentyńscy.

Polski ułan zbiera skromny dobytek, płynie za ocean, do dalekiego Buenos Aires. Do królestwa

jeźdźców i koni.

...Na półce bibliotecznej, w warszawskim mieszkaniu państwa Komorowskich, przy ulicy Szwoleżerów, poczesne miejsce zajmuje gruba księga, poemat Martina Fierro — Jose Hernandez. W Argentynie otacza się to dzieło szacunkiem takim, jak w Polsce „Pana Tadeusza”.

Fierro pisze: „Wielka Argentyna została stworzona na grzbiecie konia”. Karty pięknie wydanego utworu zdobią dziesiątki wizerunków gaucho — dozorczy nieprzeliczonych stad bydła, jeźdźca doskonałego. Konie gaucho są maści przedziwnej, srokacze, jakich nie spotkać na europejskich pastwiskach. Koń barwny, kolorowy przynosi splendor temu kto go dosiada. A właściciel nie może szarzyzną swego stroju zniweczyć urody rumaka...

Argentyna ma trzy miliony koni i Argentyńczyk sprzeniewierza się sam sobie, jeśli koni nie kocha.

Stołeczne Buenos Aires słynie z dzielnicy pływalni, tenisowych kortów, a przede wszystkim hippodromów. Tu w Club Hippico Argentino, który szczyci się wspaniałą, krytą ujeżdżalnią, o wymiarach 70X80 metrów przez wiele lat pracował Janusz Komorowski. Trzysta koni wielkiej szlachetności, potomków słynnych rodów irlandzkich stanowiło majątek klubowy. Dwa razy w tygodniu albo na macierzystym torze, albo u sąsiadów organizowano wielkie konkursy. Przez cały sezon letni. Tak jakby to były rozgrywki ligowe.

Dla wielbicieli sportów końskich krąg emocji nie ogranicza się tylko do tych przeżyć. Konie, to także tor wyścigowy — a przecież co drugi Argentyńczyk nie uznaje życia bez hazardu. W czasach wielkich inflacji mówiono nawet, że gra jest jedynym rozsądnym sposobem korzystania z pieniędzy. Ale konie to również polo, sport u nas nieznan, może nawet traktowany z przymrużeniem oka.

Argentyńczycy uważają się w tej dziedzinie za mistrzów absolutnie niedoścignionych. I mają zresztą rację. Pogoń za białą piłką, którą trzeba uderzyć specjalnym młoteczkim i starać się wrzucić do bramki, wymaga cyrkowych umiejętności jazdy, brawury graniczącej z szaleństwem. Mecz trwa sześć razy po siedem minut, ale bardzo rzadko koń wytrzymuje bez odpoczynku nawet siedmiominutowy wysiłek. Zmienia się więc wierzchowce. Każdy z nich musi być wielkiej klasy. I każdy z nich kosztuje bająnskie sumy, bowiem za szybkość trzeba płacić.

Przeciwny Argentyńczyk nie może sobie pozwolić na grę w polo. Może ją najwyżej obserwować. Oczywiście, jeśli ten przeciwny Argentyńczyk jest mieszczuchem.

Prawdziwy gaucho uważałby pewno polo za zabawę zbyt prostą. Kiedy przychodzi okres cechowania bydła czy jego wyprzedaży i zjeżdżają się ludzie z pampasów, wtedy rozpoczynają się igrzyska prawdziwych mężczyzn. Zamiast polo jest gra w pato czyli kaczkę. Jeźdźcy starają się porwać piłkę opatrzoną uchwytami, przenieść dalej mimo szarż przeciwników i wreszcie wrzucić ją do kosza. Jeśli chce się osiągnąć ten cel, nie można troszczyć się zbyt o bezpieczeństwo swoje, ani o przeciwnika.

Gauchos uznają przede wszystkim wyścigi sprinterskie. W sytuacji czystej. Tylko dwóch jeźdźców i dwa konie. Na dwieście metrów, bez siodeł oczywiście, z wiatrem w zawody. Sędzią i starterem takiej quadrery jest najbardziej szanowany pasterz. W jego kapeluszu znajdują się często oszczędności gauchos z wielu miesięcy. Nie można przecież być skąpcem jeżeli spór dotyczy zalet i szybkości ukochanego konia.

Prawdziwa olimpiada na stepie nie może się obyć bez konkursu domadorów, którzy mierzą swe siły z dzikimi końmi przywykłymi do nieograniczonej swobody, po raz pierwszy poddającymi się woli człowieka. Jeździec, do którego ma się szacunek powinien dać sobie radę z każdym koniem. Ale chyba równie ceniony jest kunszt i sztuka ujeżdżania. Kiedy z okazji świąt narodowych przybywają do stolicy

gauchowie, wtedy dają popis swojego władania nad końmi. Za madriną, matką stada, której obecność zdradza dźwięk dzwoneczka, podąża posłusznie cały tabun koni... bez jeźdźców. W wielkim, tanecznym prawie korowodzie stada krzyżują swoje drogi, przez sekundy czworonożne orszaki mieszają się, wydaje się, że chaos zapanował całkowity, ale przedziwnym instynktem konie rozróżniają głos dzwonka swojej madriny i idą za nią.

Koń, na którym jeździ gaUCHO w lot chwyta jego życzenia, natychmiast na nie reaguje. A przecież przez pierwsze dwa lata swego życia nie zna człowieka i nie spotyka się z nim. Żywi go step, a trudy wolności dokonują naturalnej selekcji. Słabsze źrebaki nie mają szans. Mocniejsze muszą się w końcu poddać woli człowieka.

Ceremonia oswojania trwa czasami kilkanaście dni. Jest to próba surowa.

Kandydat na wierzchowca złapany na łąso, skrępowany, musi pogodzić się z założeniem uzdy. Potem przywiązują go do słupa. Koń walczy, a człowiek czeka cierpliwie, aż minie pierwszy odruch buntu. Próbuje mu dawać pożywienie i wodę. Zwierzak odrzuca dar, ale w końcu głód zwycięża. Potem gaUCHO próbuje dotknąć zwierzę. Jeśli rumak daje się poklepać po brzuchu, szyi lub nogach, jest manso d'abajo, spokojny od dołu. Pierwsze zwycięstwo zostało odniesione. Teraz powinna przyjść następna część edukacji. Koń musi stać się manso d'arriba — spokojny pod siodłem. Kiedy pozwoli założyć sobie popręg i baranicę na kark, można uczyć go pożytecznej dla człowieka jazdy. Do delikwenta przyjeżdża gaUCHO na potężnym, doskonale posłusznym koniu, przywiązuje do niego na krótkiej lince miedziaka i ruszają w pampę. Biada debiutantowi jeśli chce szaleć, próbować koźlich skoków. Czworonożny towarzysz galopu z siłą czołgu pociągnie go za sobą. Opór jest bezcelowy.

Teraz ludzie chcą wymusić ostateczną kapitulację. Koniowi zakłada się bacado — miękki rzemień, który nie skaleczy mu języka, a na grzbiet wskakuje młody Chłopak. Na nogach jeźdźca są miękkie buty. Nie ma absolutnie mowy o ostrogach. Również używanie bata uznano by za haniebne. Tylko młody koń podczas tej pierwszej przejażdżki z człowiekiem na grzbiecie nie ma swobody w wyborze kierunku drogi. Jest przywiązany do przewodnika, który już poprzednio przekonał go o sile swego pociągnięcia.

W ten sposób, rzec można metodą łagodnej perswazji, następuje przyuczenie do obowiązku. Koń staje się godny aby narzucić mu na grzbiet recado — gaUCHOWSKIE siodło składające się z kilku baranic, dwa wałki ze strzemionami wymyślnymi, w skórzanych pokrowcach, ma wreszcie prawo trzymać w pysku specjalny munsztuk z kółeczkami, które będą brzęczeć i chrobotać przy każdym poruszeniu końskiego języka. Bez tych grzechotek żaden rozsądny gaUCHO nie wyjedzie na step. Można bowiem poradzić sobie ze wszystkimi przeciwnościami losu, ale nie ma innego skutecznego sposobu na fantasma, zjawy bezkresnych pastwisk, które snują się nocami i czyhają na nieprzezornych jeźdźców...

... Nieprzypadkowo w opowieści, która zaczyna się nad Wisłą jest tak wiele o gaUCHOS i ich koniach. Caribe był właśnie wierzchowcem pasterza krów, uganiał się z nim po pampie i przeszedł w swym krótkim życiu wszystko to, co staje się udziałem konia dobrze wykształconego.

Caribe miał trzy lata, kiedy spotkał go podczas wyprawy na prowincję Janusz Komorowski. Kupił „wieśniaka” za tanie pieniądze. Nikt nie doceniał wtedy talentów konia.

Po dwóch latach pobytu w Buenos Aires, podczas których dzięki naukom rotmistrza poznał tajemnice przechodzenia przeszkód i wygrał prawie wszystkie konkursy, w jakich startował, pojechał Caribe do Europy. Kiedy Janusz Komorowski odwiedził go w podgenewskiej rezydencji, stanął oniemiały. Wierzchowiec mieszkał w willi, przerobionej na wytworną stajnię, opływał w dostatki, zaś monotoność postojów uprzyjemniały mu wymyślne gazony i rabaty, otaczające jego kwaterę. Ale też Caribe wart był wiele. Stał się jednym z najlepszych koni świata.

Znalezienie Caribe było dla Janusza Komorowskiego wydarzeniem na miarę odzyskania kontaktu

z Polską. Niejeden Polak, który w' miesiącach powojennych rozterek oddalił się od ojczyzny, później po prostu nie miał za co przyjechać do Europy. Pieniądze jakie zapłacono za Caribe po dwóch latach sportowego treningu pokryły koszty kilku podróży do Polski. Konsekwencją było pożegnanie Argentyny. W piśmie argentyńskich miłośników koni pisano o wyjeździe Janusza Komorowskiego z żalem, a o latach pracy z szacunkiem i uznaniem. „Zacisnął lasso przyjaźni i wzajemnej sympatii” — stwierdzono na zakończenie.

Tak zakończyła się ulańska wędrówka, którą rozpoczęła wojna. Przed trzydziestu pięciu laty rotmistrz Janusz Komorowski marzył o medalu na olimpiadzie. Dzisiaj major Janusz Komorowski, ciągle pełen energii i wigoru, wróci zapewne do grona ludzi troszczących się o przywrócenie naszemu jeździectwu miejsca godnego tradycji.